

ŁÓP TAK

12 października 2008

Nr 3/3

KOOPERACJA ARTYSTYCZNA

Sobotnią podróż rogowską wąskotorówką poprzędziło kilka tygodni warsztatowej pracy, podczas której prowadzący kooperacje artystyczne (m.in. Marian Glinkowski, Tomasz Konopka i Krzysztof Ryzlak) pracowali z przedstawicielami teatrów uczestniczących w ŁÓPTA 2008. Ideą pracy kooperacyjnej jest zapoznanie młodych teatrów z metodami pracy prowadzących, a także integracja środowiska teatrów amatorskich. Zalety takiej pracy można było docenić podczas podróży. Bo oprócz happeningów, koncertów muzycznych, spotkania poetyckiego z Rafałem Ziębą, odbyła się cała masa rozmów – tych zaplanowanych i całkiem spontanicznych. W trakcie podróży odbyły się bowiem spotkania z poszczególnymi teatrami, w trakcie których aktorzy i reżyserzy zdradzali podróżnym swoje teatralne plany i opowiadali o motywacjach, jakie im towarzyszą w codziennej pracy. Rozmowy prowadzili Marian Glinkowski i Marcin Wartalski. Poza wszystkim, szybko okazało się, że klimat pociągowy świetnie sprzyja bliższemu poznaniu i rozmowy o teatrze trwały dłużej, niż to określał program. Grunt to przecież – jak brzmi podtytuł festiwalu – poszukiwać nowych przestrzeni.

Perekk



Uwolnić DNA!



Teatr Ignie do mnie



W balona nikt mnie nie zrobi



Niosący Światło



Pierwsze koty za płoty



Klub prasy i książki



Pociecha religijna

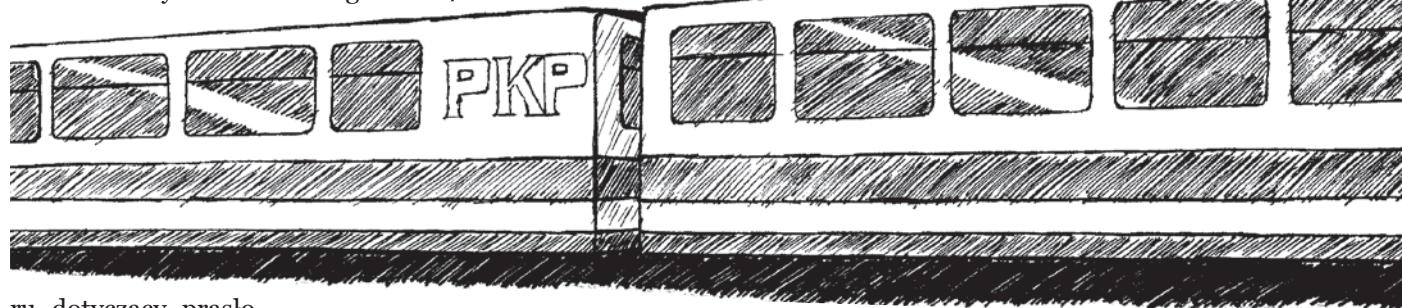
Każda działalność artystyczna jest podróżą. Tak samo i każda podróż jest kreacją. W obu przypadkach najistotniejsze są przemiany. Z podróży zawsze wracamy w jakiś sposób odmienieni, kreacyjne działanie, obcowanie ze sztuką, samo w sobie jest aktem przemiany.

Dlatego też pomyśl na podróż, podczas której dokonywane są działania artystyczne, w ogólności nie mógł nie wypalić. Pozostają niuanse, świat różnic pomysłów, ich poziomu, zaawansowania czy dokładności w ich wykonaniu.

*

Wszystko zaczęło się już na stacji Łódź Fabryczna, gdzie Łukasz Pięta kokietował nas próbując po trochu zostać bohaterem-skandalistą, a po trochu pobłogosławić na drogę. Nie wiem, czy udało mu się to pierwsze, ale błogosławieństwo zadziało: dzień był piękny, podróż – pomimo drobnych przygód – szczęśliwa, a pozostałe działania w większości udane.

Integracje zaczęły się już w pociągu do Rogowa. Oczywiście jeszcze nieformalnie, bo kolejnym planowym działaniem był *Tor Teatru Ognia i Papieru*



ru dotyczący prasłowiańskiej idei kolei wąskotorowej. Szkoda trochę, że było zbyt jasno na to by wydobywać ową genezę z pomroków Historii. A później krótka wizyta w Muzeum Kolei Wąskotorowej i do wagonów.

Trudno rozpisywać się na temat wszystkich poszczególnych zdarzeń, jakie miały miejsce w trakcie tej przejażdżki. Moją uwagę zwróciły dwa: *Czasownik* i *Ilusion*.

To, że gramatyka nie jest tylko martwą wiedzą dla umęczenia dzieci w szkołach, wiadomo od zarania. W gruncie rzeczy chodzi o system porządkujący nie tyle tryby edukacji, co rzeczywistość – relacje między nami (grupa podmiotu) oraz światem (grupa orzeczenia). To właśnie przeświadczenie stało się motorem działania Teatru Art. 51. Ankę Perek zastanowiła uwaga Stefana Themersona, że tak naprawdę to nie rzeczy stanowią esencję istnienia, ale działanie. Dlatego też na stacji w Tomaszowie Mazowieckim podjęły temat „jakim jestem czasownikiem?”. Każdy miał się utożsamić z jakąś czynnością, która mogłaby go charakteryzować. Trzeba było zapisać ów wybrany czasownik na rozwijanym rulonie papieru. Ja napisałem „pytam”. I sam zadziwiłem się trafnością wyboru. Czytając chwilę później ulotkę, której wręczenie było częścią akcji, znalazłem fragment budzący moją wątpliwość. „Od kiedy to Indianie mieszkają w Afryce?” – zapytałem na głos.

Działania podjęte pod wodzą (przywództwem? nadzorem? kierownictwem?) Teatru ab'SURDUT rozpoczęły się już podczas jazdy. Dziewczyny udające stewardessy rozdały podróżnym baloniki i przeprowadziły demonstrację na wzór tych, jakie przeprowadzane są we wszystkich samolotach pasażerskich tuż przed startem. Chodziło o pobranie naszego DNA, by na wypadek katastrofy nasze geny mogły zachować ciągłość. Kiedy kolejka zatrzyma-

ła się gdzieś pomiędzy stacjami, a my mogliśmy wysiąść, nadmuchane przez nas baloniki zostały zabrane i umieszczone w workach. Tu zaczęła się druga część działania. Stewardessy pod komendą Tomasza Konopki sformowały kolumnę marszową i ruszyły dziarskim krokiem przez nierówności terenu. Z eleganckiej obsługi stały się ofiarami jakiegoś drylu, a później nawet zamknięcia, kiedy obwiązane folią same stały się słupami w płocie przeznaczonego dla nich obozu koncentracyjnego. Na szczęście zostały z niego szybko uwolnione przez Anonimowego Bohatera, czyli Łukasza Urbaniaka, który sprawnie sformował z nich kolumnę marszową...

W pierwszym odbiorze zdarzenie to było całkiem niespójne. Co moje DNA ma do stewardess w obozie koncentracyjnym? Z dalszej perspektywy nabiera kształtu metafory świata, w którym troska i opieka ze strony instytucji jest niczym innym jak formą uprawiania przemocy. Tak samo troska o zachowanie zdrowia i danych o stanie zdrowotnym jednostek, jak i troska o poczucie wolności i kultywowanie zu-

niformizowanych zachowań, „sprzedawanych” społeczeństwu jako indywidualistyczne postawy. To ja parę lat temu wetknąłem Konopce książki Michela Foucaulta w ręce. Przyznaję się. Proszę się więc nie dziwić, że teraz robi spektakle, w których okazuje się, że to władza powołuje do istnienia jednostkę po to, aby ją tym lepiej kontrolować. A nawet same sprawujące władzę jednostki, też są do tego w ten sam sposób powołane, bo władza, to nie funkcja człowieka. To człowiek (zwłaszcza ten humanistyczny Człowiek) jest funktorem władzy.

*

Nawet najbardziej bolesne refleksje nie zatracają radosnego nastroju wycieczki. Dalej podróżowaliśmy w kierunku Białej Rawskiej wesoło machając do ludzi na przejazdach kolejowych i na polach. A u celu podróży oczekiwał już na nas Skaffander.

Milek, leader tego zespołu jest wielkim przyjacielem teatru offowego. Brał kiedyś udział spektaklu 6:27 Teatru Art. 51, a jego występy muzyczne nie raz towarzyszyły rozmaitym teatralnym festiwalom. Tym razem Skaffandrowi towarzyszył zgierski poeta, Andrzej Brzózka, który swoje wiersze świetnie wkomponował w yassowe klimaty zespołu Miłka.

Drugim zespołem grającym w Domu Kultury w Białej Rawskiej był Agnes Band. Tu już niewiele trzeba tłumaczyć. A jeśli już, to chętnie udzieli ich Tomek Konopka z Łukaszem Urbaniakiem, którzy po występie zespołu wdarli się na scenę i porwali w swe objęcia wokalistkę w dość niejednoznacznych celach.

O powrocie nie wypada mi pisać, ponieważ sam brałem aktywny udział w towarzyszących mu działaniach.

Luc Cypherus

KOPCIUSZEK PÓŁ-ŻARTEM PÓŁ-BELFRSKO

Tego na ŁÓPCIE jeszcze nie widziałem, nauczyciele wybiegają na scenę i grają *Kopciuszka*. Początek był dość niewinny, chwilami przerażający, umowna scenografia, stroje również, ale odwzorowujące. I przerysowana mimika.

Po chwili zerknąłem na zegarek i w tym momencie czas przestał się liczyć, aktorzy pokazali, że nie chodzi o narracyjne zaudalenie widza, ale przerysowaną inscenizację, gdzie najważniejszy jest wygłup, wspólna zabawa. Kolejne scenki nie zaskakiwały, nie rozbudowywały świata *Kopciuszka* i siostr, ale były utrzymane w dobrym rytmie, choć czasem widać było, że aktorzy trochę nie wiedzą jak uzasadnić swoje bycie na scenie. Chaos to coś więcej niż bieganie po scenie, teatralne odbijanie się od siebie i zbieganie w kulisach.

Wydaje mi się, że właśnie dobra zabawa przykryła teatralność. Aktorzy się wygłupiali w układach choreograficznych, ironizując z sentymentalnej interpretacji bajki, ale zabrakło pewnej sztuczności. To, że zabawa jest źródłem, nie oznacza, że ma być celem. Kiedy jedna z aktorek zaimprovizowała, druga skomentowała to: dobrze było. Rozumiem, że ta konwencja w szkole sprawdza się doskonale, ale wydaje mi się, że za mało aktorstwa w nauczycielstwie. Są sceny, które aż się proszą o rozwinięcie, silniejszą interakcję z komentarzem muzycznym. *Kopciuszek* tęskni za księciem, ale nie wystarczy puścić piosenki Reni Jusis *Kiedyś cię znajdę* i zostawić aktorki na scenie. Taniec ze szczotką aż się prosi o pogłębienie komentarza. Podobnie rzecz się ma z większością scen muzycznych.

Warto zdecydować, czy gramy dla siebie, czy dla widzów. Albo aktorzy zamykają się w czterech ścianach i nagle tworzą spektakl, który musi się bronić serią środków teatralnych, albo otwierają mocniej na publikę i bronią siłą swoich osobowości, tworząc mocną interakcję z pub-

liką. Szkoda, że zespół nie podjął decyzji w żadną stronę i wyszła z tego zabawa – owszem – ale głównie dla zespołu właśnie.

Uukasz

BELFER BEZ BLEFU

Teatr Belfer z Pabianic świetnie wpisał się w ideę zawartą w podtytule festiwalu. Bo niby teatr robiony przez nauczycieli z myślą o uczniach nie jest niczym nowym, ale jednak na tyle rzadkim, że godnym uwagi. Potrzeba niemałego dystansu i odwagi, by „wydurniać się” przed swoimi uczniami. Myślę, że to niezła szkoła życia, bo pokazuje, że szacunek można zdobyć nie tylko powagą i budzeniem lęku. Teatr Belfer zaprezentował się poza konkursem i był to z pewnością dobry pomysł. Dzięki temu można było śledzić poczynania aktorów z życzliwym zaciekawieniem, a przy okazji świetnie się bawić. *Kopciuszek* rzecz wszystkim dobrze znana, więc o fabule opowiadać nie będę. Aktorzy zagrali lekko, z wyraźnym dystansem do kreowanych postaci – za to należy się im duży plus. Stara jak świat sztuczka, tzn. dwaj mężczyźni przerobieni na brzydkie siostry *Kopciuszka*, zadziałała świetnie. Szczera radość z gry udzieliła się publiczności. Nawet przez chwilę pomyślałam, że mężczyźni powinni programowo chodzić w sukienkach – wtedy świat byłby piękniejszy.

Należałoby jednak – zgodnie z przyjętym stylem gry – usunąć zbędne dekoracje, poprzestając na jedynie niezbędnych, nieoczywistych elementach, np. kartonowych karocach. Zawierzyć inteligencji widzów, pobawić się teatrem i jego umownością. Pozostaje także problem muzyki. Rozumiem zamysł, miało być prześmiewczo, ale dobór piosenek był zbyt jednoznaczny (np. według klucza: ostatni wers – motyw przewodni piosenki). Zgrywa zgrywa, ale tak dosadne oko do publiczności jedynie dewaluje całą tę teatralną zabawę, jest kiczem po prostu.

Ap

SCENA PIOSENKI AOIA *Zakochany kundel i S'KA*

BROADWAY TO MAŁO

Ach... Jakże było pięknie. Z początku ciemno, tylko pulpity muzyków lekko podświetlone i oto wychodzi pierwsza aktorka na scenę. W ciemnej pelerynie, blond włosach, nieśmiało odśpiewuje pierwszą piosenkę z kanonicznych bajek Disneya. Przechodzi na środek sceny i za pomocą magicznej różdżki zapala napis „Disney shop”, salę rozświetla w tym momencie również kula (tzw. dyskotekowa) zawieszona u sufitu. Tajemnicza, z początku mroczna atmosfera zostaje rozświetlona i widz już nie musi się obawiać nieznanego. Słyszy dobrze mu znane utwory w nowych, porywających interpretacjach i aż nie chce się wierzyć, że część zespołu tworzą młodzi, nastoletni ludzie! Jaka dojrzałość, jakie głosy, pełna świadomość celu, oni wiedzieli po co wchodzi na scenę, a to jest najważniejsze. Siedzę i słucham urzeczony, nie chcę, aby to się w ogóle skończyło, dla mnie ŁÓPTĘ można skończyć po tym spektaklu, ale nagle dostrzegam pewne niedociągnięcia. Pojawia się na chwilę w scenie trzech świnek niezwykle uzdolniony zarówno aktorsko jak i wokalnie mężczyzna i znika. Wyczekuję go niepewny czy zauroczy nas swym talentem jeszcze podczas tego występu i widzę go kilkakrotnie, lecz niestety! Pani reżyser nie pozwoliła wybrzmieć jego talentowi w pełni i umieściła go w chórkach, zresztą kolega

z zespołu też okazał zawiść i gdy mieli śpiewać we dwóch do mikrofonu, ten niewdzięcznik trzymał mikrofon przed sobą. Nasz bohater na szczęście się nie dał zaszcucić i podczas kolejnej scenki żartował z kolegą siedzącym w kulisach, piękne, partnerskie zachowanie – nie dają mu śpiewać, a on poprawia humor koledze. A wierzyłem, chciałem wierzyć, że jest to zespół bez skazy. Czysto, wspierający się wzajem, stabilny niczym skała, ba góra nawet! Zawiodłem się owszem, ale słucham dalej, a oni wciąż zachwycają. Co i rusz zmieniają stroje, piękne, wieczorowe, czy sytuacyjne (kelner np. miał serwetę przewieszoną przez ramię, tak się dba w teatrze o szczegóły, proszę państwa) mienią się w pięknym, subtelnym oświetleniu. Aż zaczynam się zastanawiać, jak oni nadążają z tymi zmianami, ale pojmuję szybko, iż grzeszę wobec sztuki i wracam do moich kochanych wykonawców. A oni wciąż olśniewają, przecież recitale, to nie tylko piosenka, to także aktorstwo, a jakże niewielu występujących zdaje sobie z tego sprawę, wydaje im się, że przyzwoity głos wystarczy, aby wyjść na scenę i prezentować szlagiery, a często, drodzy państwo, głosu im nie starczy, o aktorstwie nie wspominając. Tu jednak było inaczej, widziałem osobowości na rzadko spotykane w skali światowej. Wspomnę nieśmiało, że widziałem chyba następczynię Barbary S. Niektórym nie starczy na

Cher, ba, nawet Celin D. ale nasi artyści czekają tylko na odkrycie. Jeśli jakkolwiek mogłem im się przysłużyć, będę niezmiernie dumny i szczęśliwy jeśli kiedyś mnie i moją skromną, żuczkową recenzję wspomną.

P.S. Błagam, nie marnujcie talentu swego kolegi-wilka. On i tak się wybiję, a wy – jeśli będziecie dla niego życzliwi – poczujecie jeszcze jego dobroć.

Uukasz

SKOWYT KUNDLA

Przyznam, że jestem nieco zaskoczona. O tym, że *Kubuś Puchatek* jest książką zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych, powszechnie wiadomo. Ale żeby Disney i jego piosenki? Kultowe raczej nie są, a jedyne czym mogą zachęcić starszą publiczność to wizja wspomnień dzieciństwa. Angielskie teksty, a zwłaszcza ich polskie tłumaczenia, nie należą do ambitnych czy choćby zajmujących. Melodia też raczej nie porywająca. Chyba, że śpiewa Elton John, ale i tak nie da się tego długo słuchać. I choć można zakładać, że piosenki niezapomnianego duetu Timona i Pumby

mogłyby pobudzić publiczność do wspólnego śpiewania to akurat tych utworów zabrakło.

W prawie godzinny spektakl mogliśmy usłyszeć piosenki z *Pocahontas*, *Króla Lwa*, *Zakochanego Kundla* i kilku innych przebojów Disneya. Niestety, okazuje się, że przerosły one możliwości wykonawców. To za wysoko, to za nisko, a tu w ogóle obok. Na dobrą sprawę jedna dziewczyna ratowała całą sytuację, ale jej z kolei piosenki z disneyowskiego repertuaru nie dały możliwości popisu. Reszta zespołu zbyt strachliwa, niepewna, zagłuszona przez muzyków, którym swoją drogą należą się ogromne brawa, bo grali świetnie.

Całość była potraktowana zbyt poważnie. Wieczorowe stroje, skupione miny, operowe głosy i ciągle mijanie się ze światłem punktówki sprawiły, że spektakl dłużył się potwornie. Świetnie bawili się tylko twórcy i dzieci w pierwszym rzędzie. A jak wynikało z informacji zamieszczonej na plakacie spektaklu – nie taki był zamiar twórców. Coś nie wyszło.

Ryba

GRUPA TEATRALNA „od jutra” Poobiednie igraszki

IGRASZKI – RAZ JESZCZE

Od początku było wiadomo, że to nie wróży nic dobrego, ta piaskownica tak ślicznie pomalowana w kwiaty, ta słodka muzyka, która przesączała się na przekór temu z czym widz miał się spotkać. Po zabawie w „ślub”, niczym nie zaskoczyła nas scena odgrywanego na podwórku pogrzebu. A śmierć wróbelka była nieuchronną zapowiedzią czegoś gorszego, bo nikt nie miał wątpliwości, że granice zabawy już wtedy zostały przekroczone, przy milczącej zgodzie grupy. Można było dwojako obstawiać – ofiarą mogła być wariatka (czyli właścicielka wróbelka) albo córka ulicznicy, bo obie znajdowały się na marginesie grupy, nie pasowały do reszty, i rola ofiary była im przypisana do początku. Wybór padł na tę drugą, może dlatego, że pierwsza zdążyła uciec, a tym samym ocaliła swoją niewinność, bo uniknęła udziału w zbrodni. Zwycięstwo moralne odniosły zatem osoby z pozoru słabe, ułomne, odrzucane przez społeczność dziecięcą. Reszta ma krew na rękach.

Myślę, że jako widzowie od początku byliśmy przygotowani na taki, a nie inny rozwój wypadków. To, co działo się na scenie nie było dla nas zaskakujące ani też odkrywczе - dziecięce zabawy przekształcające się powoli w kolejne akty okrucieństwa, walka o dominację w grupie, pokazanie „przywódcy”, „ofiary losu”, „damulki”, czyli ról, w które wchodzi dzieci w kolejnych swoich grach. A jednak pomimo tej przewidywalności – spektakl oglądało się z wielką uwagą i przyjemnością (a nawet momentami ze wzruszeniem). Obronił się zespół z Kutna swoją naturalnością, autentyzmem, sprawnością gry aktorskiej. Konstrukcja przedstawienia była dokładnie przemyślana i komponowana, realizatorzy „pilnowali konwencji”, dzięki

czemu uniknęli realizmu, który mógłby wypaść banalnie albo po prostu fałszywie. Reżyser umiejętnie dozował widzom „przyjemności” - pojawianie się kolejnych osób, narastające napięcia stopniowo „rozkręcały” machinę spektaklu zmierzającego do dramatycznego finału. Dobrze mi było na tym spektaklu, że świadomością, że oglądałam wrażliwych, dobrze poprowadzonych aktorów, ludzi, których inspiruje temat i przyjęta konwencja, którzy pokazali nam

kawałek siebie - w sposób uczciwy, nienachalny, w spektaklu, który nie jest doskonały, ale z pewnością zasługujący na uwagę.

Drewno



QUASI-REALIZM, ALE KLAROWNY

Nie jestem zwolennikiem sytuacji, kiedy teatry amatorskie, w których grają młodzi ludzie, biorą na warsztat teksty dramatyczne. Po pierwsze dlatego, że udawanie warsztatu profesjonalistów nigdy nie wychodzi na dobre, jeśli nie otrzymuje się profesjonalnego wykształcenia, po drugie – środki ekspresji teatru offowego są wcale nie gorsze, a niejednokrotnie o wiele bardziej twórcze niż te wyklepane w szkółce dla aktorów. A posługując się nimi, trzeba dobierać również i odpowiednie, odmienne od typowo teatralnych.

Ale nie twierdę, zarazem, że muszę ortodoksyjnie trzymać się takich poglądów. Zdarzają się ciekawe przedstawienia amatorskie, kiedy zabiegi adaptatorskie i aktorskie z teatru instytucjonalnego, udają się w gruncie rzeczy.

Grupie Teatralnej „od jutra” właśnie się w gruncie rzeczy udało. Tekst sztuki Romy Mathieu nie jest taki prosty, jakby się wydawało. Tak naprawdę więcej mówi o dorosłych – a właściwie nie tylko o dorosłych czy dzieciach, co o rodzeniu się przemocy i autorytarnej władzy. A także o tym, jak taka władza wypacza zwykłych ludzi w momencie, gdy się już pojawi. Albo jeszcze inaczej: jest o kapilarności władzy, która sączy się we wszystkie międzyludzkie relacje. Dzieci nasiakają tym kopiując życie dorosłych, dorosli z kolei już w dzieciństwie kontaktują się z przemocą

i uczą się dominacji nad innymi.

Rzut oka na przestrzeń sceny zasiał we mnie lekki niepokój. Quasi-realistyczna piaskownica, zamarkowana za pomocą krzeseł i koca ławka. Wszystko to pasuje do najgorszych skojarzeń związanych z teatrem amatorskim. Na szczęście nie było tak źle. Nawet tę scenografię dało się w końcu przeżyć, skoro ogólnie i ruch po scenie w większości wypadków miał sens (poza mieliznami, kiedy aktorzy zgrupowani przy piaskownicy nie bardzo wiedzieli co ze sobą zrobić) i aktorzy trafiali w światło, i cała przestrzeń sceniczna została jakoś zagospodarowana. Problemów

było trochę z napięciem, ale to chyba przez brak zróżnicowania środków ekspresji między scenami teatru a teatru w teatrze (tzn. między tymi, w których aktorzy grali a tymi, w których aktorzy grali, że grają – chodzi o sceny zabaw i udawania rytuałów świata dorosłych). A wieloplanowość jest ewidentnym atutem tego dramatu.

Wszystkie te uwagi nie znaczą, że przekaz *Poobiednich igraszek* zagubił się w potknięciach i rozmyciach. Dowodem na to, że nie są one tak duże jest to, iż spektakl zachował swoją klarowność.

prof. Unrat

GRUPA TEATRALNA „VERDE” *Sila perswazji*

SILA MAMUSI

Ta gula w gardle i ten dławiący strach – Mama idzie! I rozpaczliwe usiłowania, by w pokoju wprowadzić jakiś ład... I ta panika... Czy jesteśmy na podwórku? Czy mamy po 5 lat? A może jesteśmy nastolatkami pijącymi pierwsze wino? Nie, jesteśmy dorośli. Mamy dyplom i mieszkanie. I byłego Męża – Zmorę – czyli Huberta.

A jednak mechanizm pozostaje ten sam, nawet wtedy, gdy jesteśmy lekarzem psychiatrą. A może właśnie dlatego.

W *Sile perswazji* znany motyw nagłego pojawienia się Mamusi służy jako punkt wyjścia do swoistej komedii omyłek. Oraz podanej w lekkim tonie dyskusji na temat tego, co jest rzeczywistością, a co iluzją, oraz - co stanowi normę, a co wariactwo. Pogubić się można niewątpliwie. Przyjaciele Alicji, zamieszkujący jej pozabawione rodzinnych antyków lokum, próbują pomóc w zatuszowaniu przed Mamusią konsekwencji niezbyt trafionego małżeństwa. Zamiast zdefraudowanych przez eksa mebli pomysłów wystawiają ich fotografie. Mateusz symuluje bycie Hubertem, Asia i Ernest nawet udają, że mięsko dochodzi w piekarniku. Grunt to długo i zgodnie wmawiać to samo. W końcu Mamusia uwierzy – tak jak pacjenci Alicji w końcu przyznają, że nie są myszką, ani braćmi Marx. Oto wiara w tytułową Siłę Perswazji. Problem w tym, że Mamusia jest prokuratorem, bywa dociekliwa i nikt normalny z nią nie wytrzyma...

Przedstawienie jest miłe, przyjemne, często zabawne. Postaci biegają po scenie w rozbrajających piżamkach i podomkach, piją wino rozłożone na swojskich pudłach. Eksploatują swe możliwości głosowe piskami i innymi dźwiękowymi wygibasami. Przyznają się do swoich słabości: wypisywania lewych zaświadczeń, braku inteligencji, bycia Wszystko - Wiedzącym - Plackiem - Ziemniaczanym. Tylko strasznie dużo mówią. Gdyby tak wyciąć z połowę tekstu, byłoby lżej i zabawniej. A i pamięci nie trzeba by było tak bardzo obciążać.

P.I.

SCHIZOFRENIA PLACKA ZIEMNIACZANEGO

Pierwszy raz zdarzyło mi się oglądać spektakl, który przypominał telewizyjny sitcom. Wyolbrzymione gesty aktorów zatrzymywane na kilka sekund i przerwy na śmiech

publiczności to tylko kilka z cech upodabniających *Silę Perswazji* łódzkiej Grupy Teatralnej „Verde” do wspólnego serialu komediowego.

Oto grupa trzydziestolatków zmierza się z pewnym problemem, w tym odcinku niechcianą wizytą mamy (prokuratora z Rzeszy). Meble sprzedane, rozwód za pasem, a dom lat dziecinnych rodzicielki zamieszkiwany jest przez grupę, jak się z każdą chwilą okazuje, nienormalnych przyjaciół córki – psychiatry. Oczywiście mama o niczym nie wie. Co robić? Jeden z chłopaków pod pretekstem staje się bratem i podwójnym pseudo-mężem - siostry i koleżanki, a w dodatku z tą pierwszą ma dziecko. Wszystko po to, by nie rozłościć przybyłego gościa. Drugi z nich jest wszystko wiedzącym plackiem ziemniaczanym na co dzień, więc nic nie musi zmieniać. Mało tego, jest sobą i w oczach mamy okazuje się najnormalniejszy ze wszystkich zgromadzonych. Nic dodać nic ująć - brazylijska telenowela. Niemniej

perypetie całej piątki ogląda się z niemalym zainteresowaniem i uśmiechem. Aktorzy z dużym dystansem do własnych postaci na prawo i lewo rzucają zabawnymi tekstami. Kolejne wydarzenia nie są tak przewidywalne i banalne jak telewizyjnych sitcomów, a ogląda się je równie lekko i przyjemnie. To duży plus spektaklu.

Dobrze, że powstają grupy teatralne, które chcą swoją grą bawić siebie i publiczność. Bo to, że gra sprawiała im wielką przyjemność było widać już od pierwszych chwil, a z każdą następną aktorzy się rozkręcali. Nie był to spektakl przełomowy, ale przynajmniej nie silił się na zbędny patetyzm i zadufanie. „Verde” postawiło sobie za cel zabrać i zrobili to. I chwala im za to.

Ryba

TAKI SOBIE TEATR *Oblicza zazdrości*

WIADERKO, SZPADEK...BĘDZIE AWANTURA

Wysyp ostatnio tych piaskownicowych historii... Wyraźnie metafora dzieci na podwórku jako soczewki skupiającej cały chłam z dorosłych musi być nośna.

Ale nie zawsze tak jest. W *Poobiednich igraszkach* grupy „od jutra” udało się odmalować żywe postaci i sytu-

acje, oddać istotę dziecięcych skłonności niczym z *Władcy much*. Ale nie udało się wyjść poza pewne oczywistości, łatwo przewidywalne sytuacje. Zarówno pod względem rozwijającej się „akcji”, jak i środków, których użyto, by widzów do niej przekonać. Jeśli pojawia się wróbelek, prędzej czy później słodkie maleństwa go zaszlachtują. Najład-

niejsza dziewczynka okaże się najpodlejszą manipulantką, a wytykana palcem córka ładacznicy – kozłem ofiarnym dla całego podwórka. I ta łatwość przejścia od ślubu do pogrzebu, niby wszystko w zabawie, ale jednak....

Od piaskownicy zaczął też Taki sobie teatr w *Obliczach zazdrości*. Było wiaderczko, były szpadelki. Ale akcja nie musiała rozwijać się pół godziny, niepotrzebne były stroje „charakteryzujące postaci”. I w pierwszej etiudzie wystarczyły dwie aktorki. Raz dwa – wyrazisty gest, dobra mimika – i już wszystko wiemy – zawiść i zazdrość. A na koniec przejście wiaderka z wrogiego obozu.



I czy to będą dorosłe misski na wybiegu (kolejna etiuda), czy pragnące choć odrobiny władzy i splendoru dwórki, lepszy okazuje się skondensowany, pantomimiczny znak, niż przegadane kwestie z podziałem na role, wygłaszane w fartuszkach i sukieneczkach. „Oblicza zazdrości” trzeba też pochwalić za ciekawie z pantomimą zmiksowaną muzykę. Nawet „do Elizy” czy bolero Ravela wybrzmiały bardzo współcześnie, wyciśnięto z nich „coś” – coś zaskakującego

i świetnie komponującego się z ruchem na scenie.

Zatem piaskownica piaskownicy nierówna – rzecz w błyskotliwym pomyśle i umiejętnie wykorzystanych środkach wyrazu.

P.I.

ANTY-ZAZDROŚĆ

Niby Taki sobie teatr, a jednak całkiem niezły. 15 minut – a tyle właśnie trwał spektakl – to wydaje się bardzo mało czasu, żeby opowiedzieć jakąś historię. I być może obawy te nie są bezzasadne. W ciągu kwadransa otrzymaliśmy dawkę obrazków scenicznych na temat zazdrości. I właściwie można byłoby troszkę się na to złościć, że to tylko obrazki, ale przecież w programie stoi jak wół, że rzecz będzie o zazdrości obliczach. Temat przekrojowy, więc trudno o pogłębione refleksje, o odkrywcze diagnozy. Ale – przyznaję bez bicia – nie byłam tą skrótową formą rozczerowana. Aktorzy w świetnie wymyślonych etiudach udowodnili, że mają dopracowany warsztat (praca ciałem, przypilnowany ruch i gest) i dobrze czują scenę. Dla mnie osobiście było to nie lada odkrycie – zobaczyć dziewczyny, z którymi współpracowałam przy kooperacji tak odważne i silne. Przeszło mi nawet przez myśl, że to bycie w grupie daje im taką moc. Hmmm, godne pozazdroszczenia...

Zazdrość wedle Takiego sobie teatru ma wiele odsłon. Raz to pragnienie posiadania władzy, innym razem chęć zdobycia miłości popychają bohaterów do mało wyrafinowanych świństw. Gdyby mogli, notorycznie podkładaliby sobie nogi, rozdzielali szaty i spychali z krzesła, by zasiąść na nim w triumfie. Cieszy fakt, że z pracy teatru wyziera coś całkowicie odmiennego. Są grupą – z jednakową przyjemnością patrzy się na grę każdego z aktorów, tak jakby celowo nikt nie wychodzi przed szereg, aby pogwiazdorzyć. Solidna rzecz!

Perekk

PRACOWNIA TEATRICK *Władza i sex, czyli rzecz o skłonnościach*

WŁADZA I SEKS, CZYLI RZECZ O BRAKU TEATRU W TEATRZE...

Mam takie przeczucie, że wasi znajomi byli zachwyceni tym spektaklem. Tak śmiało, o seksie albo raczej o zapładnianiu, taki chwytny tytuł, nawet doszło do lekkich zbliżeń, trochę ciała się pokazało – myślę, że w szkole czy na rodzimej scenie mogliście zrobić furorę. I na ŁÓPcie nie zabrakło owacji.

Tylko Kasiu, Florku, Rozalindo, Królu itd. namawiałabym, by po tej kąpieli w splendorze, w czerwieniach i czerniach i hiszpańskiej muzyce usiąść i pogadać – czego od teatru chcecie, o czym do nas mówicie i jakie są wasze napędy wewnętrzne do tworzenia. Po spektaklu „Władza i seks...” domyślałam się, że pragniecie nas przede wszystkim bawić. Choć nie rozumiem dlaczego właśnie w tak mało finezyjny sposób. Cała komedijka jest banalna, mówienie wierszem raczej was nie uskrzydla i nie daje swobody, nie bawicie się słowem, nie szukacie w nim napędu do eksperymentowania. A przecież na słowie (podanym niestety niestarannie) opiera się to przedstawienie. W budowaniu scenicznych sytuacji też zabrakło pomysłów – zastanawiałam się jak opisać ruch sceniczny, którego prawie nie ma, a jedynym rekwizytem ograny w sposób tendencyjny jest królewskie łóżko. Ta schematyczność po prostu zaczyna drażnić. Choć można również uznać, że to żelazna

konsekwencja, przyjęcie takiej, a nie innej konwencji. Wasze umiejętności aktorskie, energia, chęć zabawy sprawiają, że dajemy się porwać komedii. Właściwie uśmiech nie spelza z twarzy. Jednak pod tym uśmiechem kryje się cień zażenowania – sceny łóżkowe, czy wyuzdanie Rozalindy wypadają blado. Pytam siebie, czy wy, skądinąd inteligentni ludzie, czujecie się w tym komfortowo?

Ja się tak nie czułam, bo nie potrafiłam stwierdzić, czy śmiejemy się z tego o czym mówicie (i co pokazujecie) czy także trochę z was samych (którzy daliście się wmanewrować w tego rodzaju pracę).

Może niesłusznie adresuję swoją wypowiedź do realizatorów spektaklu, może „po uszach” powinien dostać pan reżyser, który zdecydował o wystawieniu takiego, a nie innego tekstu, który chyba nie miał sprecyzowanego pomysłu na jego realizację. Wreszcie za mało wymagał od swoich podopiecznych. Mogło być więcej, fajniej, ciekawiej.

Drewno

BEZ TRICKÓW, BEZ EFEKCIARSTWA

To, że skłonności do władzy i seksu bywają przyczyną konfliktów i nieporozumień, wiadomo nie od dziś. Dlatego też może się zdarzyć, iż właśnie one zapanują niepodzielnie nawet na hiszpańskim dworze.

Mogłoby się wydawać, że pałac królewski jest miejscem, gdzie należałoby kierować się rozsądkiem i dobrem państwa. Nic bardziej mylnego! W końcu parobek też człowiek i ma prawo ulegać namiętnościom oraz żądzy władzy. Oczywiście gdyby na chłopcu na posyłki się kończyło, nad Hiszpanię nie nadciągałoby widmo katastrofy. Ale sytuacja staje się dużo bardziej skomplikowana – królowna jest wybredna i nie zamierza spędzać reszty życia z anemicznym i flegmatycznym królem-kościotrupem, w dodatku czytającym Kanta. Narzeczony także nie jest zachwycony wybranką – co chwila raczy ją porównaniami do prosiaka i innymi niewybrednymi okre-



śleniami, gdyż w jego mniemaniu jest tłusta (choć widz może uznać ją za modelkę), a co gorsza pochodzi z Sycylii. Jednak coś ich łączy, oboje zdecydowanie wolą związać się ze swoimi podwładnymi, czyli wspomnianym już Florkiem i pomywaczką Kasią. W tym szaleńczym zamiarze próbują przeszkodzić służący, umiejętnie kreślący obraz zagłady jaka musiałaby unicestwić kraj, albo przynajmniej mieszkańców pałacu. Opis trzeba przyznać bardzo plastyczny, można niemalże poczuć dym osnuwający marmury królewskiej siedziby. Komizm sytuacji jest genialnie podkreślany formą wypowiedzi naśladującą wiersz, a potęgowany wykorzystaniem rekwizytów zdecydowanie z czasów, kiedy na morzach grasowali piraci (na przykład czerwona, plastikowa szczotka). Jeśli dodamy do tego porządną grę aktorską i dystansowanie się do własnej pracy – król ostentacyjnie zasiada na widowni stwierdzając, że nie będzie grał w tej farsie; salwy śmiechu na widowni staną się jak najbardziej uzasadnione. Wszystko kończy się nieco przewidywalnym tragikomicznym finałem, który obrazuje jak bardzo popędy i chęć bycia lepszym od innych sprowadza na manowce.

Anna Bieńkowska

SCENA PIOSENKI AOIA *Ja mały człowiek*

NIC WIĘCEJ NIE NAPISZĘ!

Nie chcę, żeby wyszło, że odbieram komukolwiek prawo występu na otwartym, jakby nie było, przeglądzie. Tylko zastanawiam się tu – na łamach prasy – dlaczego prezentację wykonań poezji śpiewanej nazywać teatrem? Oczywiście nie zawsze te dwie ewentualności się wykluczają. Wystarczy wspomnieć recital Marty Andrzejczyk z Teatru Kreatury. Ruch sceniczny, zaczątki etiud, skomponowany strój, itd... Wtedy wiadomo, że jesteśmy na quasi przedstawieniu. Tym razem było inaczej. Nie chcę relacjonować występów muzycznych Sceny Piosenki AOIA, bo zwyczajnie nie znam się na muzyce. Nie wiem, czy było czysto, czy wokalistka trafiała w dźwięk. Było mi miło Was posłuchać. Ale napisać nie napiszę już nic...

Perekk

TRUDNE TEMATY

Co może sugerować tytuł *Ja mały człowiek*? Czyżby wspomnienia z dzieciństwa? Nie, skądże znowu – chodzi o filozoficzną refleksję nad sensem ludzkiego żywota.

Refleksja ta, jak można się domyślić, do łatwych nie należy. Okazuje się, że do zbyt optymistycznych też nie. Twórcy zdecydowanie podkreślają marność naszego istnienia. Człowiek to przecież tylko drobina we wszechświecie, niezdolna świadomie kreować otaczającą go rzeczywistość. Los rzuca nami, gdzie zechce. Czy można coś na

to poradzić? Owszem, padają pewne propozycje. Wbrew wszystkiemu trzeba mieć nadzieję, by przezwyciężyć lęk przed bólem i samotnością. Otuchę można odnaleźć w miłości, w dostrzeganiu piękna przyrody. Spektakl skłania do przemyśleń, niestety tylko początkowo. Mimo, że śpiew jest czysty, z każdą chwilą coraz bardziej się nuży. Nie pomagają krzesła dla chóru ustawione tyłem do widowni (żeby podkreślić jak zakamuflowane są tajemnice naszego bytu?!), nie polepsza sytuacji niekonsekwentne oświetlenie. Zdarzało się, że muzyka nie współgrała z tekstem, tak by wyeksponować słowa; ale konkurowała z nim poprzez jego konsekwentne zagłuszanie. Choć to epizod, pozostawia po sobie nieco negatywne wrażenie. Obawiam się, że jeden z solistów wykorzystywał pokłady energii nie tyle na śpiew w miarę słyszalny dla widzów, co na nerwowe miętosenie średnio wyjściowej koszulki. Ale dzięki wydobywaniu szybszych dźwięków z gitary, zapowiadały się także momenty bardziej rozrywkowe. No cóż, na nadziejach się skończyło, gdyż raz po raz powracano do przygnębiających wniosków. Chociaż trudno uznawać to za wadę, przecież życie nie zawsze jest piękne i różowe.

Nie do końca przemyślane wydają mi się też zestawienia patetycznych odniesień do mitologii z kolokwializmami typu „jak kupiec bez forsy”. Czy udało się dzięki nim znaleźć „nową przestrzeń”? Ja osobiście mam wątpliwości.

Anna Bieńkowska

GRUPA TEATRALNA ZAMKOWA *Lori Jo*

KAŚKA, NIE SKACZ!

Moje babole są moimi przyjaciółmi. I naprawdę nie rozumiem innego stanowiska. Nie dość, że pochodzą ze mnie – krew z krwi i kość z kości (choć z natury są chyba bezkręgowcami?) – to w gruncie rzeczy ich życie jest ode mnie niezależne. Gdyby Lori Jo miała tę świadomość, jej życie w domu wariatów byłoby o wiele bardziej znośne. Dłubanie w nosie w chwili beczynności lub w chwili skupienia, intelektualnego wysiłku, daje olbrzymi komfort. Dystansuje do świata i udrażnia górne drogi oddechowe.

Choć z drugiej strony takie stanowisko utrudniłoby

sytuację. Nie byłoby materiału do spektaklu. Katarzyna Klimczak nie mogłaby wcielić się w postać, której problemem większym od targającej nią choroby psychicznej jest poczucie alienacji. Lęk przed samotnością jest tak wielki, że gdy na skutek terapii, prześladowane bohaterkę głosy milkną, popełnia ona samobójstwo. Okazuje się bowiem, że nie ma już absolutnie nikogo.

Gdyby nie te niedorzeczności wygadywane na scenie o babolach – że nie można się z nimi zaprzyjaźnić – oglądanie przedstawienia *Lori Jo* byłoby autentyczną przyjemnością. Zwarte, sprawne, przekonujące. W oprawie

plastycznej – ascetyczne i efektowne zarazem. Aktorka trzyma napięcie, a łatwo jej na pewno nie jest, bo to, co przedstawia na scenie, to naprawdę czyste wariactwo.

Trochę mało, niestety, wiemy o powodach, dla których nasza bohaterka znalazła się w takim położeniu. Może warto zastanowić się nad określeniem tekstu tak, aby bardziej wtajemniczał nas w sytuację? Podobnie z zakończeniem. Po piętnastu minutach trwania przedstawienia zacząłem się już zastanawiać, jak to będzie można splećtać, jeśli nie nastąpi jakiś moment przełamujący fabułę? Można przecież tak ciągnąć i ciągnąć dopóki aktorce sił wystarczy. Zaraz po tym błysnął mi w głowie pomysł samobójstwa – ale właśnie spowodowanego wyczerpaniem fizycznym i psychicznym aktorki. I całkiem niedługo po tym Katarzyna Klimczak zaczęła się zbliżać do okna...

Luc Cypherus

KOLEJNY INNY PACJENT

Filigranowa dziewczyna o niezwyklej urodzie. Prześcieradło, farby i punktówka. Schizofrenia połączona z psychosis od narodzin po chwilę obecną. Szpital. Oddział

TEATR 16 MINUT CISZY *Jedna miłość*

TIRITI TIRITI TIRTI TIRITIRITI

Jakiś rytm prześladuje tegoroczne spektakle, nie tylko te przeglądowe, wiele rzeczy, które miałem okazję widzieć posługiwały się komentarzem... powiedzmy... muzycznym. Odnoszę wrażenie, że coraz większa ilość reżyserów tworzy w jakimś amoku telewizyjnym, a właściwie jutubowym. Siada artysta przed komputerem i poddaje się linkowym tropom.

Siedząc na „Jednej miłości” czułem się jakbym oglądał filmy amatorów wrzucone do internetu, amatorów ambitnych dodajmy, bo nie tylko komentują zabawnie videoclipy, ale także dodają do nich fabułę.

I to jest chyba problem tego spektaklu, fabuła, postaci, to wszystko sprawiało wrażenie dodanych. Z początku wszyscy się dobrze bawili, aż doszło do momentu w którym niektórzy widzowie mogli sobie zadać pytanie: po co to wszystko? Owszem, twórcy zastrzegają sobie rewir remiz strażackich, a żebyśmy się nie czepiali, że brak im ambicji, powołują się na de Maupassant’a.

Nie, nie jest wcale łatwo oceniać spektakl tak po prostu zrobiony. Po prostu cały czas się głowie o co w nim chodziło. Skoro tak dobrze się bawiliśmy, to czemu nagle rzecz stała się tak serio, skoro miało być tak serio, to czemu tak dobrze się bawiliśmy? Truje? Może, ale niech ktoś mi powie, po co to wszystko?

Formalnie – fajnie, ale napięcie jakie twórcy starali się stworzyć nieproporcjonalnie. Mogę życzyć Annie Ciszowskiej, aby zrealizowała swoje marzenia w teatrze zawodowym, bo póki co, to przypomina mi się recenzja Anki Rogali z zeszłorocznego spektaklu grupy Anny...

Ukasz

zamknięty i miękkie, białe ściany. Całość niczym z piosenki Bartosiewicz.

W spektakl w przypadkowy, a jednak perfekcyjny sposób wpisało się małe dziecko z widowni, które najpierw wydając z siebie pomruki, a potem krocząc światłem punktówki i „zostawiając” swój cień, dopełniło historii opowiadanej przez Katarzynę Klimczak z Grupy Teatralnej Zamkowa. Jej własny świat, zamknięcie w sobie, gro emocji wyrzucane raz niczym z karabinu maszynowego, kiedy indziej niczym niewinna spowiedź dziecka. Momentami groźna, za chwilę absolutnie bezbronna. I na koniec skok Kasi przez okno. Jako akt desperacji.

Historia jakich w teatrze było już wiele, ale coś wyróżniło ją spośród reszty. Pierwszy raz od dawna nikt nie zmuszał zgromadzonych do współofiarności się. Mówiła co w jej głowie siedzi i nie oczekiwała niczego w zamian. Widownia nie cierpiała, ale rozumiała. Fajnie, że tak się stało.

Ryba

JESTEŚ SZALONA

Eleganckie suknie i toczki, leniwie sączona herbatka w porcelanie. Mężczyźni z apaszkami. Przechadzanie się z wypiętymi biodrami. Śniadanie na trawie. Grupowo rzucony w widownię temat „Czy miłość jest jedna na całe życie, czy może być ich wiele?”

Będzie źle, pomyślałam. I jeszcze o miłości...

Totalna przerzutka stylistyczna była wielkim zaskoczeniem. Tym bardziej że nazwy zespołów muzycznych nie chciały się przypomnieć i w żadnym razie nie kojarzyły się z teatrem, ani w ogóle z kulturą wysoką czy nawet średnio wyższą.

Młodzież na scenie niby ta sama, ale te geterki, kolczyki, ruchy! Jak na najprawdziwszym discopolowym party. Parodia idealnie trafiona, zabawna i – co istotne – dająca się wyżyć młodym aktorom. Wyżyć tanecznie, śpiewaczo, stylizatorsko...Po Bayerfullu, o ile się nie mylę, była i Anna Jantar, i Ich Troje i dużo jeszcze (niestety nie wszystko byłam w stanie rozpoznać...) W tym niecodziennym Mismaszu historia o kobiecie, która przez 55 lat wypłatała kossze, wciąż myśląc o ukochanym. Obdarzyła go uczuciem jeszcze we wczesnej młodości. Dla niej jednej był jedynym – na zawsze. Na serio historyjka ta byłaby w teatrze ciężka do zgryzienia. Tym bardziej w teatrze alternatywnym. Ale z przymrużeniem oka i odwołaniem do lekko kabaretowej konwencji, łykała się sama. Nie bez znaczenia był fakt dużego zaangażowania i przejęcia aktorskiej trupy, dla której ten występ był, jak się zdaje, istotnym przeżyciem, być może nawet „pokoleniowym”. Na pewno istotna wprawka aktorska, otrzaskująca ze sceną, a dla widzów – po Lori Jo - coś bezpretensjonalnego i miłego.

P.I.

Krótką uwagę:

Zaraz po spektaklu Teatru „od jutra” byłam świadkiem nie lada draki. Z okien ŁDK dostrzegłam grupkę około 15 osób, większość w wieku poniżej 16 lat, skumulowaną wokół bijących się chłopców. K..., ch... i inne bardzo teatralne słowa. Gest dopracowany, dobra reżyseria tłumy. I tak wtedy myślę, że może wystarczy popatrzeć na sceny zamknięte w zupełnie innej ramie – w ramie okiennej...

Perekk

Stopa:

Ania Bieńkowska, Agata Drewnicz, Paulina Iliska, Anka Perek, Joanna Rybus, Łukasz Urbaniak, Rafał Zięba,
rys.: Marcin Konarski, Paweł Miklaszewski
skład: Norbert Młyńczak